

Wieckornica literowska.

WIECZORNICA LITERACKA

dnia 16. sierpnia 1908 w Jaremczu



NAKLADEM TOW. „OGNIKO“ w STANISŁAWOWIE.

Skład główny w księgarni A. Staudachera i Sp. (Maryan Haskler) Stanisławów

CENA I KORONA.

<http://rcin.org.pl>

WIECZORNICA LITERACKA

dnia 16. sierpnia 1908 w Jaremczu

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

BOHRER M., Sonata żałobna.

GWIŹDŹ FELIKS, W tęsknocie.

HUSKOWSKI JAN, Próba miłości.

IRZYKOWSKI KAROL, W wagonie.

NIEMENTOWSKI JERZY, Sonet, Zbudzona pieśń.

PRUSZYŃSKA-GWIŹDŹ SŁAWA, Na słońcu.

REICH ALEKSANDER, „U Maksyma“.

SALZ HENRYK, „List“.

NAKLADEM TOW. „OGNIKO“ w STANISŁAWOWIE.

Skład główny w księgarni A. Staudachera i Sp. (Maryan Haskier) Stanisławów.

CENA 1 KORONA.
<http://rcin.org.pl>

+ 96 -



24.232

Odbito czcionkami drukarni J. Dankiewicza w Stanisławowie.

<http://rcin.org.pl>

BOHRER MAURYCY.

SONATA ŻAŁOBNA.

Cisza... męcząca, bezgraniczna cisza.

Bez początku i kresu.

Ustał szum drzew w lesie, co się dumnie rozsiadł na zgarbionym stoku, zamilkły fale hałaśliwego potoku, co w dzikim wirze toczył się wśród niekształtnych kamieni górskich.

Bezruchoma cisza... Nie znajdziesz jej początku, beznadziejnie czekasz końca.

Rozpostarła się noc z bezwzględna mocą całej pełni potęgi nieczułej, przeraźliwej, nietwórczej. Przygniatającą siłą ciemni zawładnęła ziemią, przytłoczyła przyrodę, stłumiła wszelkie życie, nakazała ciszę.....

I o to nadchodzi z nią godzina śmierci. Oto zbliża się w szybkich podskokach, przycisnęła się już gdzieś w kącie pokoju, może przy oknie wyczekuje swej chwili. Idzie... Przesiąkła nią cisza, wyłania się z tej bezkształtnej, masy nieprzejrzonej ciemności, przywdziewa kształty. Stanęła....

Na wprost łóżka. Patrzy zimnym, suchym wzrokiem, wznosi rękę, długie, przerażająco długie, kościste palce wyciąga ze złowrogim spokojem....

I oto nadeszła godzina śmierci. Oczekiwana, spodziana a straszna.... Krew sączy się dwiema równoległymi liniami, ociepla mu zziębnięte usta, zabarwia bieliznę, spływa obficie. Z całą świadomością zdaje sobie sprawę ze swego stanu. Słyszał przecie wyraźnie, gdy jej lekarz mówił: „jeszcze jeden wybuch — potem koniec“.

Widział, jak na jej pobladłej twarzy zjawił się jakby promyk światła... ha ha... nadzieja wyzwolenia.

Wszak męczył ją, od roku leży chory, a ona przykuta do jego łóżka, złączona z jego bolem, ona — młoda, o czarze cudnych wdzięków, którym trzeba światła, życia...

Tak — widział, jak przy słowach lekarza rozwarły się szeroko jej oczy niebieskie, błękitem owite oczy i zajaśniały żarem, w którym tyle pło-
nęło życia, tyle życia....

A oto wprost łóżka przyciała się śmierć. Stoi niewzrószone ze szpetnym grymasem na bezzębnych ustach, z rozpostartymi dłońmi o przeraźliwych palcach wykrzywionych w spony.

Z ust sączy się bez szmeru krew dwoma strumykami, jednostajnie, miarowo....

„Jeszcze jeden wybuch“.... huczą w nim słowa lekarza, wciskają się w mózg, wgrzyżają w serce, tańczą po suficie, zjawiają się na ścianie, przy-
bierają kształty, żywią....

„..... potem koniec“....

Koniec — to znaczy spokój, kres wszystkiego, któryś z mędrców rzekł:
wyzwolenie.

Uświadamiają się mu teorye wyuczone i zasłyszane, przychodzą na pamięć rozmowy i książki o śmierci i nieśmiertelności duszy. Zaczyna go gniewać, że nie umie w tej chwili zgodzić się na żadne z tych twierdzeń mędrców i filozofów.

W ciszy huczy złowrogo potężna świadomość końca... ogarnia go cisza, będzie spoczywał bez świadomości bólu i cierpienia, bez tych mąk, co mu życie wyjadły, przeżarły płuca, zdławiły piersi, bez tych dreszczów zimnego potu, co go lodowatym szronem pokrywa bezlitośnie....

Cisza dokoła, w nim i nad nim i wszędzie, wszędzie, bezbrzeżny majestat spokoju. Prawie jak w tej czarnej nocy, bez echa, bez szmeru, bez tego nawet oddechu jej piersi, który mu gra w uszach cudnością finalnego akordu pieśni Szopena....

Usnęła.... Spi prawie spokojnie, zmęczona, ostatnie nocy spędziła przy nim bez snu zrosła z jego męką.

Spi...

A oto nadeszła dłoń godzina skonu. Stała śmierć nieruchoma z rozciapierzonymi palcami i patrzy szpetna, a krew spływa ciepłymi strugami, ostatnia, ciepła krew....

Usnęła spokojnie z cudnym wyrazem Madonny.... sen ją pokrzepił wzmocni siły...

A jemu godzina ta gotuje koniec. Straszny dźwiękiem zgrzytu huczy mu w głowie jedno, jedyne słowo, wszystko, przekrzycza, przygłusza, staje się

dlań wyłącznym, tak dobrze znanem, jakby innego w życiu nie wymawiał i nie słyszał: Koniec!...

Na izbie rozchodzi się oddech jej piersi i łechce go rozkoszną muzyką życia, zdrowia....

Ogarnia go przemocna chęć zobaczenia jej. W ostatnim wysiłku czołga się ku jej łóżku, siada przy niej, krwawe usta stula w jej dłonie, wzrok wczepia w jej twarz młodą, świeżą....

Uświadamia się coraz jaśniej myśl, że oto odejść ma stąd na zawsze i ostawić ją młodą, piękną — ostawić. Odejdzie, bo oto koniec zbliża się w szybkich skokach, pędzi po urwiskach skalnych, huczy wśród tej głuchoj ciemni, goni ze złowrogim tętentem setek gorejących, dzikich koni — jedzie, jedzie, goni....

Zocha spi spokojnie. Na wpół rozwarła usta, cudne, cudne usta z których pił rozkosz nektarną, powiekami przykryła z błękitu nieba utkane oczy o spojrzeniu, w którym mieszkała dusza, a do którego drżało sere tysiącem niewyczerpanych nadziei. Białe, przeźrocze dłonie na piersi złożyła, na cudne marmurowe piersi....

Myśl, iż ona tu się ostać musi młoda, czarowna, wgryza się coraz bardziej w znękany mózg, roztańcza się w każdym nerwie, wzmaga się w ostatniem podnieceniu. Rośnie w siły, potężnieje uporczywą jednostajnością, olbrzymieje. Przed wzrokiem stają jej oczy, w których malowała się nadzieja wyzwolenia...

Męcząca cisza bez początku i bez kresu. Przygniatająca majestatyczna pełnia nocy. Nieprzejrane kłęby ciemności pełzają po ziemi, wnoszą ciężko swe bezkształtne cielska, a łbami wciskają się między wiszące poważnie na niebie mgły. Ustało wszelkie życie — cisza, cisza.

Cmentarna cisza, w której szkielety odbywają swe harce bezszluczne, w spomiewieranym niewolniku budzi się chęć odwetu, w zranionem sercu rozkrólewia się męcząca tęsknica, a kochanek pada twarzą na ziemię, szlochając bez głosu za kochanką zabita dla zdrady.

W tej złowrogiej ciszy rodzi się w matce, której śmierć porwała jedynaka, odwaga samobójstwa, a chłop, którego żona porzuciła, leży korny u kółysanki niemowlęcia przerażony, bo się w nim myśl narodziła zbrodni....

Rozłąka z Zochą rozognia go, roznamiętnia, krew stygnąca pulsuje wzburzona, widzi jej usta różowe, unoszące się w śnie piersi....

W mózgu tańczy ostatnią hosannę—chęć użycia, pieści jej włosy, całuje zęby białe...

„Zamorduj“ szepcze coś w ciszy, „zamorduj“ huczy głośno z ciemni, „zamorduj“ woła straszliwie jedyny odgłos nocy.

„Zamorduj“ krzyczy w nim wszystko ostatnią, jedyną świadomością...

Ścisła ją wściekłym objęciem wychudłych ramion, przygniała piersi, kurczowym wysiłkiem kolan, zimne czoło tłoczy do jej rozpalonego oblicza, szeroko rozwarte oczy wlepia w jej mgłą zaszłe źrenice, wyczuwa ostatnie podrygi jej młodego ciała.....

Nieprzejrzane morze ciemni rozścieliło się złowrogo po ziemi, okrywając ją grubym całunem niebytu, nieruchu, cisza bezdena, bezkresna Noc, Noc, Noc....

Feliks Swiżdz.

W tęsknocie.

*Dziś chciałbym jeno,
żeby wiatr, wiatr lekki szumiął nademną
i w dal rozganiał ciemną
smutki, co mię ku martwocie ženą —*

*by chłodził czoło,
zbluzgane potem trudu i krwią męki
i zwolił nieco udręki,
co mię wplata w bezradności koło.*

*Dziś chciałbym — smutny —
czuć na sercu Twoje dobre dtonie
i tonąć w Twoich oczach tak, jak tonie
w modlitwach duch pokutny,*

*Chciałbym jakąś ogromną,
najszczerzą spowiedź ze spowiedzi
wyfaknąć przed Twoją duszą, co się biedzi
tak, jak i moja -- ze swą dolą bezdomną...*

*Szukam Cię. Tyś daleka — —
wiatr czoła mi nie chłodzi,
jeno tak smutno zawodzi, zawodzi — —
a odemnie wszystko ucieka, ucieka...*

JAN HUSKOWSKI.

PRÓBA MIŁOŚCI.

Włóczyłem się długo po świecie, gnany tęsknotą za jakąś nadzwyczajną przygodą miłosną. Przebyłem lądy i morza, wyspy i oazy, zdeptałem najwyższe gór łańcuchy, lecz nadzwyczajna przygoda miłosna nie przytrafiła mi się ani razu w życiu. Przeżyłem ich wprawdzie w wyobraźni mojej, nie zliczyłbym nawet całego szeregu utworów, napisanych pod wpływem głębokich pobudzeń wewnętrznych, jednakowoż nie zdołało to na razie zaspokoić mej nieugaszonej tęsknoty. I niejednokrotnie zły byłem, iż wyobraźnia moja pod względem swej fantastyczności przewyższała stanowczo życie. A że pragnąłem choć raz treścią jego upić się do bezprzytomności, włóczęga moja trwała tygodnie, miesiące, lata... Rosła we mnie tak silna chęć przekucia marzeń w rzeczywistość, iż — zdawało się — umrę raczej, niżli zrezygnuję z mych awanturnych przedsięwzięć w poszukiwaniu kształtu realnego dla mych gorących wyobrażeń. W czasie tych rozlicznych wędrówek po dalekich krainach chłostały mnie burze i wichry, kłóły szpilki losu, targały za uszy ideały, jako chłystka, nie umiejącego wówczas przechowywać ich w chustce do nosa. Mój Boże! Gdybyście wiedzieli, ile daremnych łez przelałem, ile nie przespałem nocy, ile niedołączonych utworów w mozole stworzyłem! Napróżno! sroga rzeczywistość niczem mnie zachwycić nie

chciała, czy też nie mogła. Widocznie nader rzadko rodziły się w niej nadzwyczajne przygody.

Patrząc na piękne kobiety, już nieraz byłem pewien, że... że... kończyło się jednak zwykle głupio i niesmacznie, w czym także nigdy nic nadzwyczajnego nie tkwiło. Szalenie pociągały mnie różne nieznanym kobietom, lecz, cóż, kiedy z żadną nie postawił mnie błogosławiony przypadek w tem szczęśliwym położeniu, bym wreszcie odważył się powiedzieć: „Nadeszła oto chwila wybrana“... Czy wtedy czułbym się już zadowolonym? Wszakże i w takich chwilach podoba się nam najczęściej nie tyle może kobieta, ile okoliczności, co ją na pastwę rąk naszych wydały. I niesprawiedliwie wzbogacamy ją niepodzielną miłością, nie wiedząc, iż powinno się ją przelać na kobietę i okoliczności jednocześnie, w równej lub nierównej mierze.

Zauważyłem przytem, że kobiety są mało szalone. A gdzie brak szaleństwa, tam się nie dzieją rzeczy niezwykłe. Podnieca niektóre wprawdzie bardzo dźwięk złota, ale to innego rodzaju szaleństwo. Jeśli zaś która jest naprawdę szaloną, to chyba dzięki wygodnym i dyskretnym warunkom. Podobne usposobienie i sposób pojmowania życia przez te nie dość czarujące istoty oddziaływały na mnie zawsze mroząco. A przecież szaleństwo stać się winno dewizą naczelną życia wbrew jakiemuś tam nieumiarkowanemu przesądowi umiarkowania!

Posłuchajcie, w jaki sposób pozbyłem się raz na zawsze mrzonek o konkretnej przygodzie miłosnej. Poczynalem wtedy niewątpliwie patrzeć na świat poważniej i mniej posiadać skłonności do nienoszenia ideałów w chusteczce do nosa.

Spacer w miejskim parku. Na ławce siedzi piękna kobieta i czyta. Na odgłos mych kroków nie oderwała oczu od książki, jak gdyby ów zadrukowany papier był bardziej interesującym od niej samej, a nawet odemnie. Przechodzę koło niej — ja — tęsknotą palony, gorący, jak płomień, z pionem szczęścia we wnętrzu, szczęścia takiego, co jedynie przez kobietę nazwane może być szczęściem. Czego więcej żądać? Minąłem ją — ani spojrzała! Nie przeczuła nieszczęsna, czytając w naiwnem o sobie zapomnieniu, iż człowiek co przeszedł w odległości kilku kroków od niej, niósł szczęście. Była piękna i nieprzeczuła nic, zapomniała o sobie! I nie wie, biedaczka, że przyszła tu tylko po to, by ją coś niezwykłego spotkało, by i nią coś do szpiku kości wstrząsnęło. Nieświadoma nadzieja! Tchórzliwa

awanturniczość marzenia! Więzi bez celu pragnienia swe pod gorsetem i boi się tych ptaszków na świat wypuścić...

Zawracam, przyglądam się jej życzliwie, chrząkam znacząco, wreszcie upuszczam laskę na żwir — nic, głucha na wszystko, patrzy w książkę parą oczu, otworzonych na patrzenie w głąb oczu kochanka. Czyta!

— Bodaj cię...

Siadam na przeciwległej ławce i patrzę w nią, patrzę, a serce bije mi pulsem krwi gorącej, pierś rozwiera się, jak kwiat, na przyjęcie rosy, ogarnia mnie słodka nadzieja, iż teraz spotka mię coś, co przewyższy wyobrażenia moje.

Nareszcie spojrzała jakby zdumiona, coś za nigotało w jej oczach i znowu w książce oczy zatapia.

— Bodaj cię...

— Gołąbko moja! szepcę do siebie samego. — Podejdę do ciebie, przytulę się ramieniem do twego ramionka i zapytam, czy dobrze ci siedzieć samotnej.... Czy nie tęsknisz, nie smucisz się, czy miałabyś odwagę odbyć fantastycznie niebezpieczną wycieczkę do krainy wolności, czy ważnym dla cię problematem „nie wypada“, czy umiesz poskramiać siebie i innych, czy chętnie poddajesz się szarpiącym trybom maszyny społecznej, czy nie brak ci przypadku.... entuzjazmu, czy.... czy potrafisz być szaloną, a co najważniejsze, czy umiałabyś zgnieść we mnie poczucie mego osamotnienia? W to ostatnie cokolwiek wątpię.... A nuż?... ho — ho — dziewczyno! Jeśli wątpliwość mą rozwiejesz, oddam ci bez wahania to szczęście moje, co żyje we mnie jedynie dla kobiety stworzone...

Czy nie zawiele wymagam? Azaliż czujesz się na siłach, by odpowiedzieć mi na to ostatnie pytanie?

Nie patrzy i już chyba nigdy na mnie nie spojrzy.

Obojętne zachowanie się jej nazywam poprostu idiotycznym. Jestem zirytowany i mam zamiar odejść niebawem.

Spojrzała...

Stałem się dla niej znowu przychylniejszy.

— Gdybym cię jednak zaczepił, narobiłabyś krzyku i za ten czyn niekarygodny odpowiadałbym niewątpliwie przed sądem wymyślonej sprawiedliwości.

— Więc sama, dziewczyno, podejdź do mnie, ot tak, wiedziona tkliwą pełnią przeczuc i ślepa ufnością! W milczeniu padnij mi w ramiona i wył-

kaj swą młodość pragnącą na szczerej piersi mojej, oskarż przedemną życie, które ciebie, żywą istotę, pochwyliło w swe szpony i do innych celów nagina, niż czujesz się być stworzoną! Nazwę cię żywą i obdarowaną! Obdarowaną tak, iż wysilone wyobrażenia moje w proch padną przed tobą, jako przed swem rzetelnem ucieleśnieniem! Dobra dusza moja otoczy cię słodkiem bogactwem mego „ja“, bogactwem, jakiego nigdy przecuć ani zrozumieć nie byłabyś może w mocy. I słowo honoru, że krzyku nie narobię i na nieprzyjemności z władzą bezpieczeństwa publicznego cię nie narażę!

Spostrzegła nieustępujący wzrok mój i dumnie sposepniała.

— I cóż, żem nieznamomy?! Podejdz! Gdybym nawet był nie tym, którym jestem, lecz jakimś godnym pogardy nikczemnikiem, to i tak czyn twój nie byłby haniebną pomyłką... Bo kto wie, czy ów godzien pogardy człowiek nie stałby się godnym uwielbienia? przez ciebie i dla ciebie. Czyż i jemu wzruszenie nie odjęłoby mowy, czyż w duszy jego nie zrobiłaby się błyskawica radosnych zadiwień, czyż nie wytrysnąłby mu z duszy zdroj mocy ożywczych i pragnień nieznanych, czyż nie byłby to dzień jego pierwszych narodzin? poza tobą stoi czyn twój, niebaczna. I jakże go mam wprowadzić do wnętrza twego, skoroś głucho obojętna?! Żal mi cię albowiem tracisz wiele, nie wiedząc co tracisz, przeto ja... idę cię ratować...

Postąpiłem ku niej krok...

Spojrzała oburzona i żachnęła się niecierpliwie...

— O jak bardzo rzeczywistość przeczy fantazyi! — westchnąłem, czując mur, oddzielający mnie od tej kobiety na zawsze. Jasna wyobraźni moja, bądź nadal żywicielką łaknącego wnętrza mego! I powiedz mnie znowu za rękę w marzoną krainę przygód i zadiwień, jakich nie zna zbyt mało jeszcze żywe życie! A jeśli kiedy strącisz mnie z czarodziejskich łąków twej krainy na nizinne wertepy życia, niechaj rozgorze w piersi mej płomień tęsknoty tak potężnej, abym stał się ze wszystkich ludzi najbardziej tęskniącym i utulenia w konkretnych wypadkach rzeczywistości abym nie znalazł!

— Nie lękaj się przeto, siedząca naprzeciwko mnie damo! Nie przystąpię do ciebie, nie zaniepokoję twej płochliwej duszyczki rozkoszą wzruszeń niepojętych, nie oddam cię w ręce sprawiedliwej, dobrej mocy, o której marzysz może jako o czemś niedoścignionem, jako o utopii. Ha, niech będzie ona dla cię i nadal niedoścignioną, marz sobie lekkomyślnie o tajemnicy, co nią być przestała, odkąd ja istnieć począłem. Nie odpowiedniaż to dla ciebie udręka? sądzisz, nieszczęsna, iż nie spotkała mnie mimo to

nadzwyczajna przygoda miłosna z tobą poza tobą? Spotkała, tylko ty o tem nie wiesz, gdyż ciebie nic nie spotkało. Żegnaj. Podążę już w świat, „nie-dościgniona utopio“ moja, w postaci pięknej panny na ławce majająca! Odejdę sam nieznany, a ciebie znający tak dobrze. I nie lękaj się plotek.... Nie nazwę cię nigdy kokietką, lwa pogromczynią....

Żegnaj!

Wiedz tylko o tem, niedość czarująca nieznajomo, iż przed tobą, tu na tym piasku wypisałem końcem laski mojej tragedye, której, przeoczoną nie-bacznie, treść, gdybyś poznała, — ręczę, — iż nocy tej świeciłabyś w twym schludnym pokoiku lampkę dłużej o minut kilkadziesiąt....

KAROL IRZYKOWSKI.

W wagonie.

*Napchało się w wagonach
A jazda długa będzie —
„Aj panie konduktorze,
Po sześciu w jednym rzędzie!“*

*Naprzeciw ksiądz-bernadyn
Swą tuszą Boga chwali,
Tuż przy mnie piąta kurya
Smrodliwy tytoń pali.*

*Jest i rodzinny obóz,
Pieluszki, dziecko, pypka;
Bąk starszy z palcem w buzi
Wytrzeszcza ku mnie ślipka.*

*Ale pomimo ścisku,
Wsiąść jeszcze dwoje może —*

*Przez okna tu wsiąknęli
Z tej nocy, tam, na dworze.*

*Biletu nie płacili,
Dziwni pasażerowie —
Bo oni niewidzialni,
Coupe ich w mojej głowie.*

*Co oni wyprawiają,
Zuchwali i szczęśliwi,
Niech myśl im nie odmawia,
Niech pustkę im ożywi.*

*Kopnęli wszystkie względy,
Podarli wstydu szaty,
Odziali się w pieszczoty,
W płomienne weszli światy...*

*Ej, moi goście mili.
Zabawa nieostrożna!
Na oczu mych siatkówce
Zobaczyłby was można.*

*Hej, moi współpodróżni,
Nikt z was się nie oburza?
Kiwają w dół głowami,
Sen oczy im zamruża.*

*Hej, stacye wy w ciemności!
Hej światła elektryczne!
Ja wiozę kontrabandę,
Zgorszenie — ach! publiczne!*

NIEMENTOWSKI JERZY.

Sonet.

*Żadnych po tobie nie mam pamiątek
Tylko mi koncha została pusta —
Możebym nawet zapomniał z czasem
Jak wyglądają twoje usta
I czarne, smutne twoje oczy...
Tylko ta koncha dziwna-szumiąca,
Gdzieś z pośród morskich, sinych rozloczy...
Nie wiem czy koncha ma serce na dnie?..
Czy śnią tam jakie zbłąkane Duchy?!..
Dość, że o zmroku koncha zaszumi
A z pośród wspomnień zawieruchy
Jakaś się postać znana wynurzy
I idzie ku mnie święta — świetlana
I smutne oczy swoje zmróży
I siądzie cicho u wezgłowia.
Albo się wesprze na mem ramieniu
I długo patrzy na mnie w milczeniu
Ta postać dawno zapomniana.....
Czasem o zmierzchu lub późną nocą
Zatkają dumki jakieś harfiane
I z głębi konchy gdzieś powstają
Melodje dawno zapomniane...*

Zbudzona pieśń.

Wieczorny, ciepły wieje wiatr
Hen od zachodnich stron. —
Zapada noc —
Liljowy zmierzch —
W powietrzu drży
Na kwiaty me
Na moje mchy,
Sptywają srebrne rosy skry —
Zbudzona pieśń
W powietrzu drży
Jak rozetkany — srebrny dzwon....

.....
To płaczą smutni,
To dzwonią łzy...
W grobowy takt
W żałobny ton....
Jak rozetkany — srebrny dzwon....

Stawa Gwizdź-Pruszyńska.

Na słońcu.

We słońcu prężę zmarzłe dłonie,
Ogrzewam snów mych kwiecie blade,
Na ciepłych trawach usta kładę,
By wypić z nich upalne wonie.

*J dziw mi, że to słońce płonie,
Że na mnie złote fale cieką,
A ja — pod tą lipową spieką,
Jak dawniej, prężę zmarzłe dłonie.*

*We wstydzie gorzkim drzę i płaczę,
Że słońce pali moje usta,
Gdy w piersi pragnień czara pusta
J bledną tęsknot sny zebracze.*

ALEKSANDER REICH.

„U MAKSYMA“.

Fragment.

Wyszedł od niej z rozognioną twarzą, z iskrą w swem płowem oku.
Od czasu do czasu przechodził go silny dreszcz, nie mógł myśleć.

Wyszedł od niej złamany, zwichnięty. Rozstał się dzisiaj ze swoją „Habdank“ na zawsze...

Krwawe słońce skłaniało się ku zachodowi. Przed oczyma snuły się, sylwetki ponure, jak czarne, zakapturzone mnichy z kruczą pieśnią po-grzebową.

Lekki wiatr budził martwe jesienne drzewa, strząsał z nich roje unierających liści, które spływały na wilgocią przesiąkniętą ziemię, jak nie-bieskie libelle rozkołysał wierzchołki i poleciał dalej...

On wpatrywał się w chwilową ciszę, przypomniał sobie jej głos „na, zawsze“ — przypomniał sobie jej wzrok i zimny dreszcz przeszedł po nim..

— Chłopie! jak ty wyglądasz?! Co ci się stało?! — zawołał Jerzy, biorąc go za ramię.

— No powiedz, kobieta, co? hm... Pluń na to wszystko... chodź ze mną, zapomnisz... —

Nie, nigdy, przenigdy — wybełkotał Pyro.

— Nigdy? hahaha — wybuchnął szyderczym śmiechem — zapomnisz bratku, zapomnisz, to przejdzie, wszystko w życiu przechodzi, nawet samo

życie. Chodź, zaprowadzę cię do „Maksyma“ — wyrzekł dyskretnie, tam zapomina się o wszystkim.

I wprowadził go do gabinetu restauracyjnego, przesiąkniętego dymem cygar, papierosów i zapachem wina. Kilkanaście lamp elektrycznych rozlewało dokoła olśniewające światło. Przy stoliku, ustawionym w rogu gabinetu grało kilku w karty, drudzy siedzieli przy kieliszkach i przy wypróżniających się już butelkach wina. Przy elektrycznym fortepianie grającym dziko „szalonego czardasza“ kołysała się mocno wydekoltowana, złotowłosa, mała Hilda na kolanach Stefana. Przy nich szampan. Topili się w nim. Stefan upajał się nią jak Turcy makowcem, do utraty przytomności, do szału, a jej obnażone, białe ramiona, szyję całował, na śmierć.

Twarze wszystkich były czerwone, czoła perlące się potem, oczy błyszczące, ruchy nerwowe.

— Dwa ciągi jeszcze a Zbiś wygra — zawołał Karol i rozpalonemi oczyma śledził ruch kart, wysuwających się z ręki Zbisia.

— To bezczelność, szachrowaliście — wołali.

Krzyk... pisk...

W tem przerwał ten zgiełk „Marsz pogrzebowy“ Chopina, płynący w królewskim majestacie z fortepianu elektrycznego,

Wszyscy oniemieli.

Pyro z twarzą bladą, z błędnym wzrokiem podszedł do okna i otworzył je.

Po twarzy jego od czasu do czasu przebiegały lekkie dreszcze.

W pamięci powtarzał sobie:

„Na atlasie, piękna, cicha,

Ręce trzyma w krzyż... i t. d.

— Hej dla czegoście tak posmutnieli — wykrzyknął Zbiś — precz z tym cmentarnym marszem. Niech żyje wino. Niech żyje nasza pijaczka Hilda — i wychylili resztki wina.

— Gramy dalej. —

— Wina przynieść, wina. —

— Wiwat Hilda — szły głosy od stołu grających...

Na dworze mroczne snuły się mgły, o rynnę w takt bezustannie deszcz dzwonił i spiewał...

— Pijmy niech żyje grzech — rozkosz — chuć. —

Pyro stał przy oknie. Nie słyszał już głosów pijących. W duszy jego zrywały się niewypłakane bóle, a usta machinalnie powtarzały:

„Ty grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześ króla, ile chcesz mój bracie?
O zakop mnie, a głęboko, tak mi źle na świecie
Ciężej niżli twoja ziemia, powietrze mnie gniecie.

HENRYK SALZ.

LIST.

Tak mi serdecznie ciebie żal,
mój smutny...
Spoglądam w ciemne wiry fal,
bez tchu bieżące w dal
nieznanych światów —
i śpiewam im mój cichy psalm pokutny,
mój żal...

Ubrałeś mię w swej duszy przepych,
rzuciłeś na mnie swych najdroższych marzeń
przesłodki czar,
jak wonnych kwiatów
pek —
i nawet ciebie nie ogarnął lęk,
by cię nie spotkał kiedyś straszny los
tych jasnowidzących a ślepych,
co w baśń wpatrzeni swych mistycznych światów,
technąc w nie swej duszy wszystkim żar,
nie przewidują onych smutnych zdarzeń,
które wybijają im ostatni kłos,
jak szron
jesienny
kwiat ich złudzeń zwarzą
i przerażonym oczom ich pokażą,
że w piękno własnych dusz
stroili — próchno...

Ostatni ton
twojej lutni, w ból brzemienny,
schłonęła nocna głusz —
pojęłam wówczas, że twoje struny zgłuchną,
twoją duszę, płodną w najcudniejsze ziele,
w najśłodsze leki,
dziki chwast zaścienie,
twoje serce grzechu mego łup,
zastygnie,
pójdzie w niemą noc,
i będzie w duszy twojej jak w kościele,
gdzie leżał królewski młody trup,
którego już na wieki, już na wieki
nie dźwignie
żadna moc...

Wiedziałam, jaka ciebie złuda
pęta:
żeś we mnie ujrzał wszystkie owe cuda,
których szukała twoja tęsknota święta,
Dobrze mi było w twoich pochlebstwach dymie,
żeś do swych pieśni me przywiązał imię.
Chciałam się nawet zbliżyć do twoich rojeń,
byś w tem ziszczeniu zaznał dzień ukojeń,
dzień jasności i dzień ciszy...
I choć bywało, że już pierś ma dyszy
tą dziką żądzą, co nas wnet rozdzieli —
dusza się sztucznie na twój widok bieli,
przywodzi uśmiech na usta anieli,
maską miłości strasznej prawdzie przecząc....

Lecz tyś zawinił także — swoją wiarą!
Ty, który czytasz w sercu ukrytej treści,
mogłeś nie słyszeć jęków mej boleści,
gdy cię widziałam swoich kłamstw ofiarą?!
Mogłeś nie słyszeć, mając me bijące

serce na piersi jak ptaka trwoźnego,
że niem miotają zradnych żądź
tysiące,
co z dziką siłą ku tamtemu biega,
i że samemu sobie klnąc,
złorzeczając,
serce me krwawi jak otwarta rana,
skruczą rozpaczłą me kolana
zgina,
cisnąc na usta jęk:
„to moja wina!” —
i tylko wstyd, palący wstyd i lęk,
dławiły w krtani me spowiedue skargi,
kładąc milczenia pieczęć na me wargi?!
Mogłeś ty tego nie czuć
i nie przeczuć,
żem naznaczona jest przez przeznaczenie,
i że potęga mnie fatalna pędzi
ku ostatecznej zguby mej krawędzi,
bym w otchłań szła
bez kresu i bez dna —
na zatracenie — — —

Tak się ziściła straszna ta konieczność...
Trzy lata dziś — a mnie się zda, że wczora,
i wiem, że choćby przeszła cała wieczność,
pamięć tej chwili, jak skrzydło upiora,
wiał będzie cieniem przez wszech dni słoneczność,
upłynionemi nieznuzona laty
émić będzie gwiazdy moje, truć me kwiaty...

Ale ty nie sądz, że chcę skargi szeptać,
by cię przebłagać. Wiem: tyś mi przebaczył
dawno — nie winił mnie — nawet nie raczył
mnie nieobecnej gniewną stopą zdeptać!...
Wiem: swe najdroższe zelżyć w poniewierce
jest to: w rozpaczy plwać na własne serce! —

Raczejbym chciała twojej nienawiści,
która przekleństwem złe sumienie czyści!
Miast, byś milczący znosił ból urazy,
jabym wolała twego biega razy!
Abyś do krwi mię smagał w dzikim szale,
byśmy zagryźli się jak dwa szakale! — — —

Lecz i tej łaski nie żądam,
nie zebrzę...
Oglądam
postać swoją w ciemnym srebrze
fali — jest jeszcze piękna i wyniosła —
bardziej niż przedtem: cierpieniem urosła!
I wiedz: dopóki gardzę sama sobą,
póty nie będę czołgać się przed tobą!
Bo samowzgarda to krzyk mego ducha,
który płomieniem z pod rumowisk bucha!
W Gehennie męki jeszcze duch mój hardy
i tem dumniejszy, iż pełniejszy wzgardy!! — —

I tylko ciebie żał mi jest serdecznie,
że ty przezemnie będziesz cierpieć wiecznie;
że ze sierocą już na zawsze duszą,
życiem złamany beznadziejnie szarem,
iść będziesz niemą, obumarłą głuszą,
gnąc się pod własnej pustki swej ciężarem —
i że wpatrzony w bezkres pól bez końca,
nie będziesz nawet czekał wschodu słońca —
i że niemocą skrępowane węża,
już się twe ręce do gwiazd nie wyprężą —
i że już płomień żaden nie wykwitnie
z ducha, co żył tak bujnie i tak szczytnie!...

Lecz ja litością dumy twojej nie skalam
i ten list, pierwszy i ostatni, spalam!



F

24.232